

POWROTY

KARUZELA Z KIERATEM

Ciała prostokątna połać ziemi między ulicami Głogowską a Klonowicza i między Wyspiańskiego a Spokojną (teraz: Kniewskiego) przez długie lata stanowiła plac naszych zabaw, stała na niej tylko jeden budynek narożnikowy na rogu Głogowskiej i Spokojnej. Dopiero w latach trzydziestych rosły tam budynki, obecnie wypełniające szczelnie tę połać.

Pas tego prostokąta od strony Głogowskiej stanowił jedną wielką piaskownicę, a dalszy — od strony Klonowicza, wyżej położony — porastały przeróżne zieleńce. Tam na górcie, starsi po południu rozkładali koce, a dzieci na dole hasały po piasku. Zimą z górki na pazurek zjeżdżało się na sankach albo tyżwach.

I otóż na kawałku tej frontowej, niższej części bliżej ul. Wyspiańskiego, która była równiejsza i twarda — stawały często karuzele. Albo była to karuzela łańcuchowa z bujającymi się siodłami albo podłogowa z ławeczkami i zwierzętami, na których spokojnie się siedziało. Silnik elektryczny w latach dwudziestych należał do rzadkości, rzadka była też sieć elektryczna, okoliczne domy oświetlane były gazem, a i na ulicach świeciły gazowe latarnie. Toteż karuzela napędzana była... ręcznie.

Jej sufit stanowił zarazem podłogę, osłoniętą ozdobnym pokryciem. Po drabince wchodziło się tam, między promieniście rozchodzące się od środka belki. A wchodziły dzieci, których nie stać było na opłacenie jazdy. Wystarczyło czworo czy pięcioro pchających owe belki i chodzących wokół, jak w kieracie, by karuzela szła. Kto przez pięć rund kręcił ją — za szóstym razem jechał sobie na dole bezpłatnie. W ten sposób myśmy mieli darmowe jazdy, a właściciel przedsiębiorstwa rozrywkowego — bezpłatny napęd.

Przyznam się, że dla mnie i dla wielu z nas chodzenie w kieracie stanowiło atrakcję nie mniejszą od owej premiowej jazdy. Nie przyznawaliśmy się jednak do tego przed panem karuzelarzem.

LEONARD TURKOWSKI